

NASZA PRACA

dwutygodnik młodzieży szkolnej powiatu
tomaszowskiego, wydawany przez uczennice i uczniów



Panstw. Gimnazjum



im. Bartosza Głowackiego.

Nr 2 (62)

W Tomaszowie Lubelskim, 15-go września 1924 r.

Rocznik IV

Do Was, Druhowie.

Każda praca zwykle spotyka się ze swą zasłużoną nagrodą. Nagroda ta jednak nie zawsze przychodzi w ściśle określonej formie i czasie, bo różnie się w życiu plecie. Wytrwałość jednak, silna wola, wiara w lepszą przyszłość, miłość Ojczyzny i bliźniego, to są zasadnicze czynniki, które zawsze utrzymują człowieka w równowadze. One zachęcą leniucha do pracy, krnąbrnego do karności, zrezygnowanego do życia i ufności we własne siły, pozbawią sobkostwa i egoizmu tak dziś powszechnego,—jednym słowem dadzą typ dzielnego człowieka.

Przymiotów tych jednak nie zdobędziemy w żaden inny sposób, jak tylko drogą samowychowania i pracy nad sobą. Bo czyż można wyrobić w sobie wolę, bezczynnie trawiając czas? Czy można mieć jakiegokolwiek pojęcie o altruizmie społecznym i o obowiązkach wszechludzkich, nie spotykając się wcale z życiem takim, jakim ono jest w rzeczywistości? Odpowiedź krótka—

nie! Zaznaczam, że nie chodzi mi tu wcale o prawienie morałów, bo tych słyszemy codziennie dosyć. Idzie mi tu o coś zupełnie innego. O podniesienie strony etycznej wśród młodzieży, jak zarówno i o zdawanie sobie sprawy z tego, co nas czeka w najbliższej przyszłości.

Często słyszymy zdania: „Młodzież, to przyszłość narodu, to fundament bytu niepodległego etc.“. Z tego należałoby wnioskować, że starsze społeczeństwo myśli jednak o nas i nieraz nawet drży o jakość naszego charakteru, ponieważ w odpowiednim czasie zechce oddać ster rządów w nasze młode ręce. A my, czy myślimy na serjo o tej chwili, która stanie kiedyś przed nami? Cóż wtedy zrobimy, nie będąc do tego odpowiednio przygotowani? W ręce nasze powierzą los dziesiątki milionów braci, musimy więc godnie i sumiennie przygotować się do tego stanowiska. Wielkość i trud, jakie z tem zadaniem łączą się, możemy w przybliżeniu sobie wyobrazić, a człowiek, logicznie myślący, nie rozpoczyna żadnych zajęć od strony najtrudniejszej, lecz przeciwnie. Stopniowo zaprawia się do coraz to cięższych i im systematyczniej i sumienniejsze od początku pracować zacznie, tem przyszłe trudy, jakiegokolwiek one by nie były, łatwiej pokona.

Nie zapominajmy i o tem, że jesteśmy harcerzami. Nie wolno nam ograniczać się tylko do noszenia czapki, oznak związku i wogóle do formy zewnętrznej, ale musimy mieć i to na uwadze, jakie z tem wszystkim, co podpada pod zmysł wzroku, przyjęliśmy na siebie obowiązki przez słowa dobrowolnie wyrzeczone: „Mam szczerą wolę....“

My nie możemy pozwolić na to, ażedy społeczeństwo źle o nas mówiło. Czynem zbijemy wszelkie, najczęściej niesłuszne zarzuty. Niech zrobi coś jednostka, a zaraz posypią się słowa krytyki, jak grad: — „Oni wszyscy tacy“. Nic dziwnego. Dużo jednostek jeszcze zbyt słabo się orientuje w ruchu harcerskim. Według

ich mniemania, harcerz—to zakonnik średniowieczny, a swoboda, ruch, życie, to wykroczenie przeciw przepisom, to rzecz wprost niedopuszczalna. Trudno; takimi nas widzieć nie będą. Szanujemy ich zdanie, ale rozumiemy i czujemy, co znaczy życie w obozie w otoczeniu przyrody, przy gawędzie i śpiewie.

Daje się czasem słyszeć zdanie: „Co tam wszystkie prawa i zasady harcerskie, jeśli one nie mają zastosowania praktycznego, a nawet przez samych harcerzy wypełniane nie są ponieważ wszyscy oni palą, piją, wobec czego można przypuszczać, że i wszystkie inne prawa przekraczają“.

Człowiek ten nie zastanawia się nad tem, jakie skutki zdania tego rodzaju, najczęściej niesłuszne, spowodować mogą. Widział on ucznia, który kupował papierosy, ale, jak się okazało, nie był on wcale harcerzem, włożył tylko czapkę współkolegi harcerza przez złośliwość, będąc źle usposobionym do niego. Dalej nie miał on wcale zamiaru picia alkoholu, bo dobrze zna jego zgubne skutki i prawo szkolne, tylko złośliwa plotka potrafiła do papierosa dorobić i kieliszek. Tak się stało, że chociaż to był jeden osobnik, nie mający nic wspólnego z Z. H. P., zaczęto rzucać zdania, że harcerze, i to wszyscy, nie przestrzegają praw harcerskich.

Jak się okazuje, zarzuty najczęściej są niesłuszne. Nie możemy jednak stać na stanowisku obojętności zupełnej, by nie rzucić poza siebie, w prawo lub lewo, okiem. Jest rzeczą zbyt dobrze wszystkim znaną, że wyrzutki społeczeństwa wszędzie się znajdują. To trudno —nie posiadamy umiejętności przejrzania charakteru i duszy człowieka na pierwsze wejrzenie. Złych musimy usuwać, by nie dawali powodu sarkania na naszą organizację. Nie zapominajmy, że należymy do Z. H. P., na który dzisiaj, po Zlocie Wszechświatowym, zagrańca już pod innym kątem widzenia patrzy. Dokażmy te-

go w życiu codziennem, co reprezentacja nasza przed kilku tygodniami w Danji, przed przedstawicielami świata całego uczyniła. Niech ucichnie wreszcie zdanie, że młodzież polska tylko do prac konspiracyjnych jest zdolną. Niech widzą sąsiedzi nasi, że i w Wolnej Polsce młodzież „Czuwa“.

Jan Skiba

OSZCZĘDZAJMY!

Mamy wreszcie ustabilizowaną walutę. Jesteśmy pewni, że kapitał, jaki posiadamy, nie zmniejszy swej wartości do jutra, jak to było z markami. Złoty polski jest monetą jedną z najdroższych w Europie. Przekonać się o tem możemy z czasopism, notujących giełdę.

Obecnie obok wielu innych kwestyj, na których polega dobrobyt Państwa, rząd zajmuje się bardzo żywo oszczędnościami. Chcąc poczynić jak najdalej idące w tym kierunku starania powołał do życia stanowisko Komisarza Oszczędnościowego, którego zadaniem jest czuwać nad wydatkami państwowymi.

My uczniowie także nie bardzo sobie zdajemy sprawę z potrzeby oszczędzania, którem nie jest przechowywanie pieniędzy gdzieś w kuferku, a wyjmowanie ich wtedy, gdy zajdzie konieczna potrzeba, np. kupienie winogron. Przedewszystkiem musimy ograniczyć nasze wydatki do minimum, do najkonieczniejszych potrzeb. Nie należy wydawać otrzymanych od rodziców pieniędzy na błahostki, na winogrona lub pomarańcze, bo tem popieramy przemysł obcy, powodujemy wywóz pieniędzy zagranicę, utrudniamy rozwijanie się polskiego przemysłu owocarskiego, i nie oszczędzamy, stajemy się rozrzutni. Przed każdym wydatkiem należy się dobrze zastanowić, czy jest on koniecznym. Przypuśćmy, że nie, to co zrobić z „flotą“? Rzecz prosta — zanieść do kasy Bratniej Pomocy na konto oszczędności. Zysk będzie podwójny; zyskamy my, zyska Bratnia Pomoc, którą naszym obowiązkiem jest popierać. My zaoszczędzimy pieniądze, które w chwili naprawdę koniecznej potrzeby będą, jak znalezione; Bratnia Pomoc, która operuje zwykle małą gotówką, powiększy ją wpływami naszych oszczędności i przy pomocy kapitału będzie mogła jeszcze skuteczniej pomagać wszystkim biednym tutejszego gimnazjum, kółkom naukowym i wszystkim innym organizacjom tutejszym.

Oszczędzajmy, nieśmy swe szczupłe zapasy gotówki do Kasy, aby te pieniądze, które w danej chwili są nam nieużyteczne, przynosiły korzyść ogółowi.

Oszczędzajmy, jeżeli chcemy, aby państwowość nasza stała na silnych podwalinach finansowych, jeżeli dbamy o dobro własnej Ojczyzny.

Oszczędzajmy, jeżeli nie chcemy stać się żebrakami, zasługującymi na politowanie.

Władysław Fedorowicz

Z nad morza.

Każdy redaktor, chociażby pisemka najmniejszego w swych rozmiarach, jest człowiekiem arcynatężnym pod względem artykułów okolicznościowych i wogóle tego „czegoś“, bo na każdym kroku męczy człeka spokojnego, czującego wstręt do czytania nie tylko dzieł Rodziewiczówny i Mniszkówny, ale nawet gazet, człeka bez najmniejszych zdolności i „natchnienia“, męczy go, by „coś“ napisał, mniemając, że napisać „coś“ równie łatwo, jak przeczytać artykuł z gazetki szkolnej. Często redaktor zostanie wysłany w te okolice, gdzie pieprz rośnie, a „makagigi“ i „draże“ dojrzewają, lecz on nie zraża się (boć na to jest redaktorem, by wszystko przyjąć) i stale swoje prawi, aż wreszcie dopnie celu: wyłudzi od człeka przyrzeczenie.

A, teraz człeczko, męcz swoją łepetynę, poć się, wymyślaj wszelkiego rodzaju sceny, wyciągaj z dna skarbcza myśli piękne, szczytne, przypominaj przeżyte wrażenia, boś przyrzekł i mogą cię wyśmiać za „coś“ nieudanego. I czyż warto mieć cokolwiek do czynienia z redaktorem? Nigdy! Ale stało się—trzeba pisać.

Nazwa „Morze Polskie“ u niektórych osobników rodzaju ludzkiego wywołuje na ustach pewnego rodzaju grymas, jakby uśmieszek ironiczny, nawet u tych, którzy poza cuchnącym stawem i kałużą przed oknem nic innego nie widzieli, bo co to może być za „Morze Polskie“? Ot, trochę wody słonej, otocznej zewsząd ziemią, wody, po której pływają sobie stare kalosze, nazwane szumnie okrętami. Tak niektórzy mniemają, powtarzam. Ale są tacy, których pociąga ta woda, te obszary powierzchni gładkiej, te głębiny niezmierzone i pragną oko w oko spotkać się z tem morzem. I udają się hen na północ, na kraniec naszej ziemi, i co widzą?

Spokojna, równa powierzchnia, od czasu do czasu lśniącą grzbietami drobnych fal swych przedstawia się oczom zdziwione-

go przybysza z krain południowej Polski. Swym spokojem dziwnym, jakimś urokiem niezbadanym pociąga, wabi ku sobie i każe zachwycać się. Bo czyż nie piękne jest to nasze morze?! Hen, na horyzoncie z jednej strony widnieją wieżycy i szczyty dachów — to Gdańsk prastary, z drugiej—wązki pas ziemi, ledwie zalesiony—to Hel, a pomiędzy nie wtuliło się Ono, jak potulne dziecko i szumi tajemniczo, i śpiewa pluskiem swym pieśń przeszłości, usypiając przybysza, każąc mu zapomnieć o troskach codziennych. A promienie słoneczne, odbijając się gromadnie od grzbietów białych fal drobniutkich, igrają w powietrzu, czyniąc świat ten piękniejszym.

Wtem na widnokręgu ukazało się coś białego. To „Lwów“ potężnym swym dziobem pruje tonń morską i mknie, rozwinąwszy na niebotycznych masztach białe żagle, jak mewa skrzydła, mknie, by spocząć po długiej wędrówce, by przytulić zmęczone swe ciało do macierzyńskich ramion portu, na tle którego znowu czernieją kadłuby fortec morskich. Tu i ówdzie posuwa się bezszelestnie łódź żaglowa, zdając się być czemś niezemskim, tam terkocze jednostajnie motorówka — i tyle tylko ruchu, bo morze spoczywa. A słońce w wędrówce swej po niebie oświetla cały ten obszar wody i brzegi, chyląc się ku zachodowi. Już zachodzi, kryje się za lasy i góry, lecz żal mu pięknego widoku, więc rzuci jeszcze parę długich promieni, ostatnich i... zgaśnie.

A wtedy wychyla swą buzię majestatycznie płynący księżyc i przegląda się w morskiej toni, chcąc zbadać tajemnice głębin morza, które łagodnie, cichutko pluska o brzegi piaszczyste. Wszystko śpi, jeno od czasu do czasu wiaterek obudzi się, poruszy i przyniesie dźwięki pieśni smutnej, śpiewanej przez marynarzy. I długo trwa cisza taka.

Lecz coś się stało w przyrodzie, bo chmura czarna zakryła księżyc, mewy zapłakały z oddali, wiatr silniej poruszył konarami drzew, raz, drugi i uderzył z siłą w śpiące morze. Przebudził się olbrzym, poruszył gniewnie cielskiem swem i grzmotnął w krępujące go brzegi. Podniosły się fale, zatańczyły swój zawrotny taniec, zawyły, zaryczały i z szumem potężnym uderzyły na ziemię. To szereg pierwszy, za nim sunie drugi, trzeci, wreszcie czwarty spiętrzył się, jak koń dziki, rozwał swój grzbiet i z dzikim pluskiem, gulgotem, wyciem i rykiem gniewnym spadł, by powtórzyć znowu swój atak. Morze rozgrało się, wydobyło z łona swego moc uśpioną, wydało ryk przeciągły i... naraz ucichło, by z tem większą siłą, jak wściekłe, rzucić się na brzegi i ryć je, szarpać. A księżyc, ukrywszy się chwilowo za chmurę, wyjrzał

ciekawie i oświetlił to morze gniewne, śmiejąc się szeroko z bezsilności fal, igrając promieniami na ich jaskrawobiałych grzbietach...

Nad takim to morzem zmiennem zjawili się pewnego pięknego poranku przybysze nowi. Ich gołe kolanka, zakasane rękawy, zawadjacko zagięte rogatywki, miny zdobywców pociągały wzrok. To harcerze suną powoli, dźwigając plecaki i tłumoki na barkach swych, suną ku najpiękniejszej okolicy nad morzem polskim, do Oksywji, położonej na wzgórzu, skąd rozciąga się widok na zielonobrunatne morze. Przybywszy z krainy, gdzie większy obszar wody nie jest znanym, zachwycają się każdym szczegółem, biegają po brzegu, czując pewnego rodzaju strach przed głębią morską, a nie mogąc zdobyć się na wstąpienie w drobne fale. To pierwsze wrażenie, które mijają szybko—i cała gromadka już w wodzie, już pluska się i pływa.

Morze, zdziwione obecnością w łonie swem ciał świeżych, białych wprost, podnosi głowę, zlekka muska falą białogrzebietową i ucicha, by przyglądać się igraszce gromadki, która dalej używa całą duszą. Lecz czas już wyjść z wody, by wysuszyć się na słońcu, leżąc na gorącym piasku, i opalić białe ciała. Wychodzą powoli, z żalem opuszczając morze, wyciągają ciała swe i upajają się powietrzem świeżym, lekko oddychając, lecz wkrótce to ten, to ów kurczy się, kryje przed ziemnym wiatrem, szczękając coraz silniej i szybciej zębami, wreszcie wszyscy chrońnią się do apartamentów, dziwnie podobnych do naszej stodoły nie tyle z zewnętrznej strony, ile od wewnątrz swoją słomą rozwianą na wsze strony, wciąż biegającymi i piszczącymi myszkami—utrapieniem gromadki, oraz specyficznym zapaszkiem mysim. Aromacik rozkoszny, dobywający się z kotłów, nęci powonienie, zmusza wszystkich do szybszego wydobycia menażek i misek oraz do gremjalnego stawienia się na okrzyk: „Obiad!“ przed obliczem wszechwładnych kucharzy, na czele których stoi poważnie nadęty prowiantowy. Dźwięk łyżek, szybkie i urywane ruchy szczęk, wydających dziwny odgłos przy żuciu klusek prawie gumowych (kucharze coś podobnego potrafią ugotować)—poza tem cisza, boć chwila nastrojowa. Ale młodość nie znosi ciszy, to też nie długo trwa ona, bo wkrótce ten i ów rzuca słowo, za chwilę daje się słyszeć dowcip jakiś, powitany śmiechem zdrowym, wreszcie już szumnie, już rojno na wzgórku, życie wre, tryska humor i—koniec obiadu, czas odpoczynku, czas załatwiania spraw czysto osobistych. Ten pisze coś, ów leży bezmyślnie, nadstawiając plecy do słońca, tamten mruczy pod nosem, inny nuci zlekka, zapatrzony w obłoki sunące wolno w

przestworzach, nuci, marząc o kraju rodzinnym, o chatce niziutek, krytej słomą, gdzie siwiuteńkie głowy ojców zwracają się na północ i z tęsknotą w oczach jasnych wyglądają powrotu syna. Każdy prawie co innego czyni, nawet kuchcik, bo ten znowu zapamiętałe szoruje kocioł i narzeka na swój los nieszczęsny, wyciągając: „Smutna, smutna jest dola ma...” Głos jego cienki rozlega się smętnie i pobudza cerbera—kucharza do drzemki poobiedniej, zresztą zasłużonej, boć co gumowe kluski, to nie byle co. A ta władza, szumnie nazwana „komandą“, siedzi w „salonie“ i obmyśla plany na przyszłość. Biedny gołokolany czuje przez skórę, opaloną wprost na czarno, że nie dadzą wygrzewać się długo, że jutro coś będzie, to też porzuca drzemkę, marzenia, stan bezmyślny, męczenie kotłów, nawet pisanie listów do domu i pędzi na złamanie karku po schodkach prowizorycznych do wody, by użyć kąpieli. I znów dają się słyszeć okrzyki zadowolenia, plusk, sapanie grubszych, a pisk cieńszych.

Wreszcie zmrok, a z nim zimny wiatr zmuszają gromadkę do opuszczenia plaży, by po spożyciu t. zw. kolacji zasiąść do śpiewu wspólnego. Morze szumi łagodnie, rzucając na brzeg lekkie fale, wiatr szemrze po drzew konarach, a pieśń, silnie wydobyta z piersi, mknie w dal, odbijając się echem od stoków wzgórza, mknie szybko, wesoło, radośnie drgając w wieczornej ciszy, to znów smętnie kołysząc się nad wód przestworzem, i wabi słuchacza, zadziwia swą siłą, humorem lub marzycielską nutą.

Harcerze kończą śpiew, powstają, odkrywszy głowy i z przejęciem wysyłają ku Stwórcy pieśń ostatnią, pieśń piękną, jak ich dusze młode, pieśń jasną i czystą, jak ich życie. Rozlega się potężne: „Pod Twoją Obronę...”

Wreszcie cisza nocna.

Księżyc zaś, wypełźszy z legowiska dziennego, ciekawie zagląda do wnętrza stodoły i opromienia postacie śpiące, pieszcząc je, zachwycając się tak sielskim widokiem. I oblicze okrągłe jak gdyby zajaśniało silniej, jakgdyby uśmiechnęło się radośnie na widok nowych rycerzy i cicho popłynęło dalej po niebios skłonie.

Fotzet

Ze Zwierzyńca.

Podczas świeżo minionych już wakacyj tutejsza drużyna żeńska, wspólnie z drużyną lubelską, urządziły obóz w Zwierzyńcu. W czasie trwania tego obozu odbywałyśmy krótkie wycieczki

po mieście dla zwiedzenia tamtejszych fabryk, jak: browaru, tartaków wodnego i parowego, cegielni i t. d. Mam zamiar powiedzieć parę słów o ostatnio wymienionej fabryce, t. j. o cegielni ordynackiej.

Znajduje się ona w stronie zachodniej, za miastem, w lesie. Po półgodzinnej drodze doszliśmy do cegielni. Lecz jakie rozczarowanie! Wyobrażałam sobie, że przynajmniej taka będzie, jak na Budach koło Tomaszowa, a może nawet okazalsza. A tymczasem co widzę? Na niedużej polance, otoczonej ze wszystkich stron zielonym murem drzew, stoi kilka t. zw. (na wsi) szop, (są to zwyczajne, pokryte gontami dachy na słupach) nierównej wielkości. Szopy te tworzą mniej więcej czworobok. Na środku tego czworoboku pod szopą małych rozmiarów, osadzony głęboko w ziemię stoi sznajder (zw. tak od niem. schneiden—krajac). Jest to słup, obciążony przez kierat, ze skrzydłami dookoła, które służą do przerabiania gliny, otoczony zaś jest drewnianą ścianą, tworzącą dużą jakby pakę, u której dołu jest otwór. Przez ten otwór wydostaje się przerobiona już glina do dolów, wyłożonych deskami. Stąd wożą ją taczkami do innej, większej szopy. Tu stoi paczka z piaskiem, na której leży kilka podwójnych form, (do robienia cegieł), które, wysypane piaskiem, napełniają gliną, przyglądają równo z wierzchu deseczką i układają obok, by cokolwiek przeschnęła na powietrzu. Pod największą szopą, której dach dotyka ziemi, znajduje się piec, choć zupełnie nie podobny do pieca, chyba z imienia. Bo, proszę sobie wyobrazić ten piec: wysoki, murowany, wielkości domu, u góry zupełnie nieokryty. Do połowy był już napełniony cegłą gotową do wypalania. Następnie weszliśmy stromemi schodami w głąb ziemi i tu z zewnątrz ściany pieca ujrzaliśmy 3 otwory wysokości metra, a dochodzące do środka pieca. W tych to otworach palą bez przerwy 48 godzin, a jeżeli z przerwami to 2 do 3-ch dni. Przy piecu znajduje się zwykle jeden tylko człowiek, to też musi bezustannie chodzić od jednego do drugiego pieca i podkładać drzewo, by utrzymać potrzebny do wypalenia ogień.

Po wypaleniu otrzymują w tej cegielni trzy rodzaje cegieł: najlepszy tak zw. zendrówka, średni: wiśniówka i najgorszy, jasny. Można bardzo łatwo te rodzaje cegieł odróżnić. Zendrówka jest najlepiej zwykle wypalona, bo otrzymuje ją się z pokładów, będących na samym dole pieca, a więc najbliżej ognia, to też pokryta jest szkliwem, od którego kolor cegły jest brązo-zielonawo-niebieskawy. Wiśniówka jest koloru, jak już sama nazwa wskazuje, wiśniowego; otrzymuje się ją ze środkowych

warstw cegły. Trzeci gatunek jest jasnego koloru, najgorsza, z górnych warstw i ta jest najmniej wypalona.

Następnie przez Piaskową Górę udałyśmy się do Zwierzyńca na podwieczorek, który nam po tej wycieczce bardziej smakował, niż zwykle.

J. Gniotówna

WIEWIÓRKA.

Przynieśli mi ją pastuszkowie bydła na sprzedaż.

Była malutka. Jeść jeszcze dobrze nie umiała, drżała całym ciałem w rękach swych katów, którzy wynieśli ją z gniazda rodzicielskiego, wydarli biednej matce, rozdzielili z rodzeństwem. Oczy jej silnie błyszczące zdawały się płakać za straconym szczęściem, za ciepłym gniazdkiem w zielonym przecudnym lesie.

Żal jej mi się zrobiło i kupiłem ją. Lękałem się, aby jej zły jakiś człowiek nie kupił.

Pierwotnym zamiarem moim było zwrócić ją na łono przyrody. Lecz zważywszy, że sama tak młoda nie potrafi zdobyć sobie żywności, postanowiłem zatrzymać u siebie, aż do wiosny, kiedy silna zdobędzie sobie prawo do życia samoistnie.

Wziąłem ją do swego pokoju, dałem mleka i suchej bułki. Jadła łapczywie, choć z pewnym lękiem. Głód silniej działał aniżeli uczucie strachu. Zaspokoiwszy głód, ukryła się pod poduszką na łóżku.

Po paru dniach obecności u mnie oswoiła się do pewnego stopnia. Przychodziła do ręki, wbiegała na mnie, a nawet chciała spać u mnie w łóżku. Lękając się jednak o nią, nauczyłem ją udawać się na spoczynek w wieczór do kieszeni w palcie, które wisiąło przy ścianie.

Cieszyło mię bardzo, gdy brała kawałek cukru lub orzech w łapki i zręcznie sobie go przytrzymując, gryzła, na ile stać było jej młodziutkie ząbki, lub gdy rozbawiona skakała ze sprzętu na sprzęt, udając, że przed czemś ucieka lub coś goni.

Chcąc jej pobyt u siebie jeszcze bardziej urozmaicić, przyniosłem do pokoju świeżą zieloną sosenkę. Radości dzikiej mieszkanki lasu nie było granic. Biegała po jej zielonych gałęziach aż do zupełnego zmęczenia. Czasami w przystępie smutku siadała na jej szczycie i długo tak w spokoju spędzała chwile.

Tęskniła za lasem zielonym, za wolnością.

Po paru tygodniach spróbowałem wypuścić ją na dwór. Wyrzwała oknem ostrożnie, wbiegła na dach, obejrzała go ze wszystkich stron, zbiegła na dół, czepiając się dzikiego wina, i po kilku chwilach była już na jednym z drzew ogrodu, a wkrótce zniknęła mi z oczu, chociaż długo jej szukałem. Byłem pewny, że uciekła gdzieś i już nie wróci. Nie było jej aż do wieczora. Wróciła zgłodniała, biegnąc odrazu do miseczki z mlekiem. Odtąd wychodziła oknem stale do ogrodu, wracając do mieszkania tylko po jadło i na spoczynek.

Wróble, które stadami gnieździły się pod dachem, nie lubiły jej, zbiegały się na widok jej rudej, zwinnej figurki z długim puszystym ogonem i gniewnie, latając wokół, ćwierkały.

Tak przebyła u mnie całe dwa miesiące. Wyrosła przez ten czas, nabrała sił tak, że gdy ją zaniosłem do lasu, w okamgnieniu wbiegła na wysoką sosnę, pobiegała wśród jej gałęzi i poszła dalej w głąb lasu, skacząc z drzewa na drzewo, z gałęzi na gałąź.

Szkoda mi jej jednak było. Już nie będzie zabawiała mnie w samotności, ani budziła rano, wbiegając pod kołdrę. Oddałem ją naturze, tam, gdzie jest jej miejsce.

Jaki los ją spotka? I czy będzie pamiętać o swem dzieciństwie, które spędziła u mnie?

Przyjaciel zwierząt.

PIŁKA NOŻNA.

Mam kolęgę, który jest nieprzejednanym wrogiem „kopaniny“ (tak nazywa piłkę nożną). Postanowiłem go sobie zjednać. Przychodzę do niego i o dziwo! Zastaję go ze „Stadjonem“ w ręku. „Już go mam“ — mówię do siebie po cichu, a głośno dodaję:

— „A widzisz! Przyszła koza do woza. Ty, nieprzejednany przeciwnik „footbalu“, zajmujesz się tą kopaniną“.

— „Ani mi się śni“ — słyszę głos, ale już nie tak twardy, jak zwykle. — „Zajmuję się czystą kulturą cielesną Grecji, pozbawionej cienia brutalności, to znaczy tak zwaną obecnie lekką atletyką. Znam wiersz Waszego poety, takiego „brutała“ jak Wy. Oto wyjątek:

„Porzućmy wszelkie utopje.
Ten lepszy, kto lepiej kopie.“

Tu przerwałem jego zapal oratorski i rzekłem:

— „Wiedz, zacofańcze, że i w Grecji używano „kopaniny“. Odysseusz, pozbywając się zalotników nadobnej Penelopy, kopał nie w piłkę, lecz w część ciała ludzkiego, służącą do siedzenia. A zresztą nasz „brutal“—poeta nie woła: „kto mocniej“, tylko „kto lepiej“. W tem sedno sprawy się mieści. Ten lepiej kopie, kto zrobi to zręcznie, zagra celnym strzałem, albo chytrem podaniem towarzyszowi, a nie ten, kto łupnie z całej siły na oślep, nie bacząc, jaka jest sytuacja na boisku. Tu nie zwycięża siła fizyczna, lecz plan, zręczność poszczególnych graczy i zgranie się zespołu. Gra ta ćwiczy bezwzględne posłuszeństwo dla sędziego. Ćwiczy zrozumienie karności, bo podporządkowuje graczy interesom ogólnym, t. j. interesowi gry. Gra ta wyrabia najważniejszą zaletę kulturalnego człowieka—panowanie nad sobą. A nie może być i nie jest brutalną grą, zmuszającą gracza do najdalej idącego okiełznania naturalnych popędów i odruchów. Cóż bardziej naturalnego nad ruch, ręką uczyniony w ferworze ataku lub w momencie rozpaczliwej obrony. Ale rąk tu używać nie wolno... Oto piłka! Tylko ją kopnąć, a będzie bramka! Niestety! Gracz znajduje się na „spalonem“, ruszyć mu się do piłki nie wolno. I w tym momencie, momencie największego zapamiętania się, gracz uczy się panowania nad sobą. Uczy się wytrwałości — bo wali i wali Panu Bogu w okna, aż trafi w bramkę. I tak, boisko jest miejscem, gdzie wyładowuje się masa energii mięśniowej, fizycznej pod kierownictwem spostrzegawczości i silnej woli. Piłka nożna ma charakter walki, jak każdy inny sport. Graj, bracie, w piłkę, a dasz sobie radę w życiu. Bo czemże jest życie, jeśli nie ciągłą walką“.

Przyjaciel mój, zdruzgotany potokiem mej wymowy, wyjąknął:

— „Przekonałeś mię! Odtąd będę stałym bywalcem na każdym meczu, (ale nie na „finta“ przyp. autora). W piłkę grać nie będę, bo moje serduszko w nieporządku. Ale, jak przedtem mieliście we mnie wroga, tak teraz będziecie mieli najzajadlejszego sympatyka“.

— „Amen“ — rzekłem i podałem mu rękę.

Fuljan Krotki

WSPOMNIENIE.

Czy Ty wszystko pamiętasz?
 Ten nasz cny elementarz,
 Te wesołe zabawy,
 Pełne śmiechu i wrzawy?

Nasze psoty, igraszki,
Gdyśmy lekko bujali,
Szczebiotali jak ptaszki,
Jak chochliki się śmiali?...

Jako barwne motyle
Pośród śmiechu, pustoty
Spędzaliśmy te chwile,
Ten cudowny wiek złoty.

Przeminęły dni wiosny,
I blask szczęścia tęczowy,
Co w ów dzień nasz radosny
Opromieniał nam głowy.

Dni przeszłyście promienne
I dni złotej swobody;
I stałyście się zmienne,
Znikł czar jasnej pogody —

Gdzież te chwile wiosniane,
Blade marzeń stokrocie,
I wspomnienia różane,
Malowane na złocie?

Gdzież sny nasze liljowe,
Sny o elfach, tych z bajki,
Nici marzeń tęczowe,
Kolorowe mozaiki?

O! Te chwile słoneczne —
Czemuż one nie wieczne?
Czemuż po nich zostanie
Smętne tylko dumanie?

O, marzenia nietrwale,
Jak skrzydełka motyle,
Zostawiły po sobie
Tyle wspomnień, łez tyle.

Znikło z pereł różowych
Nanizane rojenie.
Teraz tylko — z dni owych —
Naszym skarbem — wspomnienie.

„Mijka“ ucz. kl. V.

Kalendarz - encyklopedia.

W lipcu wyszedł świeżo z druku kalendarz „Iskier“ w opracowaniu Władysława Kopczeńskiego. Kalendarz ten słusznie nazwany jest encyklopedją.

Jest to książeczka o miłym wyglądzie; format bardzo dostosowany do całości. Treścią kalendarzyka są najrozmaitsze notatki, krótkie opracowania najważniejszych reguł matematycznych i fizycznych, odkrycia i wynalazki, historia, łacina, prawa gier, słowem wszystko, czego może potrzebować uczennica czy uczeń.

Gdyby ktoś chciał opisać wszystko, co się znajduje w tym kalendarzu, z pewnością w niemałym byłby kłopotcie, nie wiedząc, od czego zacząć—czy od mapki, czy od fizyki... Mam nawet pewność, że zamiast projektowanego opisu „kropnąłby“ odezwę do *w s z y s t k i c h*, by niezwłocznie zaopatrzyli się w wyżej pomieniony kalendarzyk, nazwany przez Wydawcę przyjacielem, towarzyszem, doradcą, wreszcie nauczycielem młodzieży. Bardzo słusznie! Posiadający ten kalendarz nie będzie nigdy żałował paru złotych, wydanych nań, choćby był najbardziej oszczędnym.

Zresztą, najlepszym moim czynem będzie z pewnością odeślanie koleżanek i kolegów do „Książnicy — Atlasu“ (Księgarni Uniwersyteckiej) w Warszawie, Nowy Świat 59, aby poprosili o przysyłkę kalendarza „Iskier“ *). Jestem nawet pewna, że nazajutrz po wyjściu gazetki naszej, mnóstwo listów pofrunie do Warszawy z naszego gimnazjum i w liście do pana W. Kopczeńskiego (redaktora „Iskier“) będę mogła śmiało napisać, że „Książnica—Atlas“ otrzymała z Tomaszowa Lubelskiego.... ile? 200 zamówień (od młodzieży, starszych nie licząc), na kalendarzyk „Iskier“; tyleż prenumeratorek i prenumeratorów „Iskier“ (tygodnika dla młodzieży) zyska Redakcja. Można list pisać, prawda?

M. K.

*) Oczywiście w tym wypadku, jeśli zabraknie egzemplarzy, które są do nabycia w naszym Sklepiku Uczniowskim.

Wiadomości bieżące.

Komenda Harcerskiej Drużyny męskiej w Tomaszowie Lubelskim składa serdeczne podziękowanie JWPaństwu Szurmiskim za nader gościnne przyjęcie Drużyny podczas wycieczki w dniu 6 i 7 września b. r. w Falkowie.

W czasie przedwakacyjnym, wakacyjnym i powakacyjnym odwiedzili nasz zakład byli koledzy: Józef Truś, Konstanty Kozyra, Stanisław Mulawa i Wojciech Olech, obecnie uczniowie Seminarjum Duchownego w Lublinie.

Dnia 9/VIII b. r. uczniowie kl. VIII w liczbie 8-miu zorganizowali wycieczkę na rowerach w celu odwiedzenia kolegów na wsi. Wycieczka trwała 1½ dnia. Zwiedzono Budy, Hutę Dzierążyńską, Dzierążnię, Majdan-Sielec, Hutę Komarowską, Komarów i Dub.

Dnia 23/VIII b. r. 4-ch uczniów kl. VIII urządziło dłuższą wycieczkę rowerami do Biłgoraja. Droga na Zamość, Szczebrzeszyn, Zwierzyniec wynosiła 90 km. Powrócili dnia 26/VIII b. r. o godz. 15.

Zebranie gminy im. Tadeusza Kościuszki odbyło się dnia 2-go i 3-go b. m. Gmina obrala nowy zarząd, w skład którego wchodzi: wójt—kol. Jerzy Zarzycki, podwójci—Wacław Starzyk, skarbnik—Jan Cieślak, sekretarz—Jan Bronikowski.

Najważniejszą z kwestyj, rozpatrywanych przez gminę była sprawa funduszu Gminy. Chcąc ulżyć niezamożnym kolegom, rozłożono całą kwotę, której Gmina potrzebuje, t. zn. 750 zł. na składki miesięczne po 3 zł. od każdego członka.

Następnie rozwiązano sprawę popierania „Naszej Pracy”. Członkowie złożyli zobowiązanie na całoroczną prenumeratę.

Wreszcie, aby zapewnić pomoc kolegom słabszym w niektórych przedmiotach, stworzono komisję naukową, w skład której wchodzi najlepsi w danym przedmiocie uczniowie, a mianowicie: dział jęz. łacińskiego objął kol. Dyga, jęz. polskiego—kol. Paszkiewicz, matematyki—kol. Kłos, fizyki—kol. Malec i jęz. niemieckiego—kol. Starzyk.

Zebranie U. K. S. „Thomasovia” dnia 4 b. m. Wybrano nowy zarząd, w skład którego wchodzi: Przewodniczący i kapitan I drużyny piłki nożnej—kol. Krotki Julian; zastępca przewodn.—kol. Ejfler Bronisław; sekretarz—kol. Chmielewski; skarbnik—kol. Wierzbicki Oktawian; gospodarz—kol. Leszczyński Wł.

Drużynowym II drużyny piłki nożnej został wybrany—kol. Borucki Zygmunt; drużynowym sekcji lekkoatletycznej (jak w roku ubiegłym)—kol. Stelmaszczuk Edmund. Sekcję cyklistów objął kol. Brogowski Jan; sekcję pływacką—kol. Borucki Zygmunt, oraz sekcję łyżwiarską—kol. Bużkiewicz Tadeusz.

Drużynowymi piłki koszykowej żeńskiej są: kol. kol. Ziemiańska Anna, Koralewiczówna Zofja i Kobierzycka Marja.

Drużynowym I drużyny piłki koszykowej męskiej—kol. Bachowski Zbigniew.

Byłemu zarządowi, a w szczególności kol. Florjanowi Stanisławowi za owocną pracę składa serdeczne podziękowanie

Ze sportu.

Zarząd.

Match—Rewange 31/VIII 1924 r.

Biłgorajanka I — Thomasovia I. 1:2.

Gra ostra, obie drużyny starają się zdobyć przewagę. Do pauzy wynik remisowy. Po pauzie tempo się wzmacnia. Thomasovia zdobywa bramkę, strzeloną przez F. Cichockiego. Po chwili Biłgorajanka wyrównywa stosunek zdobytych bramek. Stale jednak zaznacza się przewaga Thomasovii. Drugą i ostatnią bramkę, uznaną przez sędziego strzela St. Floryan. Dwu poprzednich, strzelonych przez tegoż gracza, sędzia nie uznaje, jakoby były strzelone ze spalonego, co nie jest zgodne z prawdą. Sędziował gorzej niż zwykle Z. Bachowski.

Match 8/IX 1924 r.

Thomasovia I — Thomasovia II. 2:7.

Tempo ostre, gra mało zajmująca z powodu niezgrania się Thomasovii II.

Przewaga Thomasovii I zaznacza się stosunkiem zdobytych bramek na korzyść Thomasovii I. Po raz pierwszy nie bez zarzutu sędziował St. Floryan.

Rec.

OGŁOSZENIE.

Przy Bratniej Pomocy zostało utworzone kółko fotograficzne. Wykonuje zdjęcia wycieczek, klas i do legitymacyj po cenach przystępnych dla każdego ucznia. Zamówienia należy skierowywać na ręce kol. kol. Stanisława Floryana i Feliksa Mazurkiewicza kl. VIII.

Adres redakcji i administracji: „Nasza Praca“ Państw. Gimnazjum
Koedukacyjne Tomaszów Lubelski.

Wydawca i Redaktor odpow.: Prof. Hanna Boska.

Redaktor: Władysław Fedorowicz, uczeń kl.

Przewodniczący Komitetu Administr.: Stanisław Floryan, uczeń kl. VIII.

Tłocznia S. Szyflingiera w Tomaszowie Lubelskim Starostwa.

TREŚĆ N-ru 2 (62): 1) Do Was, Drogowicze—Jan Skiba. 2) Oszczędzajmy—Władysław Fedorowicz. 3) Z nad morza—Jotzet. 4) Ze Zwierzyńca—J. Gniotówna. 5) Wiewiórka—Przyjaciół zwierząt. 6) Piłka nożna—Juljan Krasa. 7) Wspomnienie—„Nijka“, uczeń kl. V. 8) Kalendarz-encyklopedia—M. K. 9) Wiadomości bieżące. 10) Ogłoszenia.